

NIEDZIEIA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 23

Katowice, 12-go czerwca

1932

Na czwartą niedzielę po Świątkach

EWANGELJA

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 5, w. 1—11.

W on czas: Gdy rzesze cisnęły się do Jezusa, by słuchać słowa Bożego, On właśnie stał nad jeziorem Genezaret. Widząc zaś dwie łodzie, stojące na brzegu — rybacy bowiem wysiedli i plukali sieci — wszedł do jednej łodzi, którą była Szymona, i poprosił go, aby nieco odbił od brzegu. I usiadłszy, nauczał rzesze z łodzi.

A gdy skończył przemowę, rzekł do Szymona: Wyjedź na głębie, a zapuśćcie sieci wasze na połów. Ale Szymon odezwał się i rzekł doń: Mistrzu, mozoliliśmy się przez całą noc, a niceśmy nie ułowili; ale na twe słowo zarzućcie sieć. I gdy to uczynili, zagarnęli wielkie mnóstwo ryb, a sieć ich rwać się zaczęła. To też skinęli na towarzyszków, co byli w drugiej łodzi, by im przyszedli z pomocą. Ci nadpłynęli i napełniono obydwie łodzie, tak że o mało nie zatoneły. Widząc to Szymon Piotr, przypadł do kolan Jezusa, mówiąc: Panie, wwidź ode mnie, bom człowiek grzeszny! Na taki bowiem połów ryb, jakiego dokonali, osłupienie ogarnęło jego i wszystkich, co z nim byli; a podobnież i Jakóba i Jana, synów Zebedeuszowych, którzy byli towarzyszami Szymona. Jezus jednak rzekł do Szymona: Nie bój się! Odtąd już ludzi łowić będziesz. A wyciągnąwszy łodzie na brzeg, rzucili wszystko i poszli za Nim.

NAUKA.

I.

Rzesze się cisnęły, aby słuchać Bożego słowa . . .

Przeszło 50 razy w roku cisną się pod ambone chrześcijanie. Nie wszyscy. To prawda. Ale przyznasz, że na całym świecie niema drugiego miejsca, któreby umiało gromadzić tak poważne rzesze, jak ambona.

Mimo Moskwy najlepszy dowód, że nie przeżywa się religia. Owszem ma dużo podobieństwa do dzwonu. Im silniej w nią uderzają, tem głośniej się odzywa. Im więcej ją prześladują, tem bucha płomienniej. Odradza się katolicyzm w Austrii, bo uciemieża go socjalizm; wzmoćnił się na Węgrzech, gdy komunista Bela Kun — (Kohn zawsze żyd!) — czerwona nad ziemią tą zawiesił płachtę!

Trudno zresztą żyć bez religii ludziom. Zrozumieli to nareszcie wrogowie religii socjaliści. Mędrsi z nich katolicyzmu zupełnie nie wyrzekli się nigdy. Wódz ich w Polsce zdaje się w katolickim wychowywał klasztorze córki!?

Przeszło zatem 50 razy w roku ciśniemy się koło ambony. Bez nakazu. Z dobrej woli. Bez kon-

troli policji. Przychodzimy, by usłyszeć prawdę — nie koniecznie przyjemną, czasem nawet przykrą i wzburzającą — ale zawsze pożyteczną!

II.

Nauczał rzesze . . .

Głos świeży i dźwięczny — gardło suche, zrujnowane — nie o to chodzi. Słowa i głos należą do człowieka, myśl pochodzi z krynicy bożej. Z tą myślą bożą jest jak z chlebem. Lepszy stary chleb, aniżeli żaden; zazwyczaj nawet stary strawniejszy, aniżeli zbyt świeży. Ale już najchętniej słuchasz kapłana, który dużo myślał, dużo czytał i dużo, dużo cierpiał. Kto przez lzy na świat nie spoglądał, nigdy — jakże lzy zrozumie? Pod amboną widzę płytę marmurową. Czytam: Im uboższy, tem jestes mi miłszy. Im więcej ułomny, tem do mnie podobniejszy. Im więcej wzgardzony, tem mi bliższy. Ave, Ave, Ave! Zbliżaj się i posłuchaj. Już czekam na Ciebie dawno! Nie dopuszczę nigdy, by Twe samotne serce odeszło bez pokrzepienia i nadziei . . .

III.

Bom człowiek grzeszny, niegodny . . .

A jednak i najcudowniejsze słowo złotoustego kaznodzieja nie może być powodem wyłącznym odwiedzania świątyni katolickiej. Istotą nabożeństwa katolickiego jest zupełnie co innego: **Misterjum i adoracja.**

Misterjum Mszy św. to tajemnica, wymagająca ukorzenia nierozumiejącego rozumu. Adoracja to ubóstwianie Stwórcy przez korzącą się kreaturę ludzką. Dlatego w naszych kościołach to dziwne umebrowanie. Dlatego na froncie nie fotel wygodny dla człowieka, lecz tron Boga — ołtarz. Pomyśl: **My Boga** mamy w domach naszych. Dlatego, że Boga mamy, nie krzeselko, lecz posadzka kamienna, której dotyczą kolana nasze. Dlatego gdzie ławeczka, tam też deseczka do klęczenia. Dlatego te przeogromne, niebotyczne przestrzenie, abyś Ty zupełnie był **małym, nikłym, nic nie znaczącym.** Dlatego w kruchcie oczyszczająca woda, by Ci przypomnieć, żeś **brudnym** na duszy. Dlatego ten częsty nigdzie indziej nie spotykamy upadek na kolana, na posadzkę (nawet z krzywdą dla pięknie wyprasowanych spodni), by dobrowolnie się ukorzyć i unieżyć. Pokora lekarstwem na pychę. Starowolski nazywa pychę **najkardynalniejszą wadą Polaków.** Gdzie pycha, tam niezgoda, tam żadne wspólne nie udaje się dziełko. Może to dlatego u nas tak biednie, tak smutno! Z jakimże więc przejęciem się i zastanowieniem my Polacy uczęszczając powinniśmy do świątyń, by uleczyć naród z wady najkardynalniejszej i najszkodliwszej . . .

Święty Antoni!

(13. czerwca).

O, Ty, niebiosów cudowny kwiecie,
O, Ty ubogi Franciszkaninie,
Święć się Twej śmierci siedemsetlecie,
Niech na świat cały świętość Twa słynie.
Cześć Ci, cześć kwiecie o cudnej woni:
Święty Antoni!

O, cześć Ci, Święty! Chwała Ci, chwała,
Żeś przez swą czystość zasłużył sobie,
Iż na Twem reku Dziecina mała,
Sam Jezus spoczął w własnej Osobie,
Żeś Stwórcę trzymał na swojej dłoni.
Święty Antoni!

O, cześć Ci, cześć Ci, Ty, miłosierny,
Coś z chlebem dażył do głodnej rzeszy,
I dziś w dobroci swojej niezmiernej
Twe serce niech nas zawsze pocieszy,
Twe wstawiennictwo od złego broni.
Święty Antoni!

Święcąc Twej śmierci siedemsetlecie
Myślą się wznosim dzisiaj do nieba,
O, Ty, przejasny cnót wszelkich kwiecie,
Bardzo nam Twojej pomocy trzeba,
Niech nam przyświeca blask Twojej skroni,
Święty Antoni!

Niewdzięczność ukarana.

— Matko, matko jedyna, czy słyszycie, co to tam znowu za hałas u Łypaków, mówiła szesnastoletnia Rozyna, córka niedawno owdowiałej Borsuczyny włódarki, wskazując ze wstrętem na obok stojącą porządną chałupę.

— Słyszę i dobrze słyszę moje dziecko, ale to tam najwięcej brzęczy donośny głos samej gospodyni, zrobiła uwagę włódarka.

— Ale gdzież tam, przerwała Rozyna, przecie słysząc, jak stary Siewruk z płaczem przeklina niegodziwych Łypaków.

— Biedny starowina, westchnęła stara.

— O! niepocziwa Magda! krzyknęła z oburzeniem dobra dziewczyna, żeby też tak dokuczać na starość choremu ojcu. O matko! matko, dodała wybuchając płaczem, tożże straszny grzech nie szanować a jeszcze poniewierać swoich rodziców; a niedawno nasz dobrodziej mówił na kazaniu, że ich przekleństwo aż w niebie się odbija i że dla dzieci niewdzięcznych nie ma szczęścia ani w tem, ani w przyszłym życiu, że taki nie wart nawet tego, żeby go święta ziemia nosiła, bo jeżeli nie słucha ojca, matki, czyż potrafi kochać swych bliźnich braci i służyć im w potrzebie.

Lecz w tej chwili otworzyły się z trzaskiem drzwi chaty Łypaków. Wyszedł z niej starzec, łachmanami odziany. Na wyzółkłej i pomarszczonej jego twarzy malowała się straszliwa boleść, ręce drżały jak w febrze, a nogi, pomimo pomocy grubego kiją, z ciężkością posuwały się jedna za drugą.

— No! no! nie udawajcie tatułu, jesteście wy jeszcze dość silni, żeby się zawlec pod kościół do miasteczka, wrzasnęła za nim gospodyni.

— A tak, tak, dodał sam Łypak, wpychając żonę do izby, dziad będzie miał zawsze świeży grosz i kawał chleba i nie będzie już człękowi zawadzał w chałupie.

Nieszczęśliwy staruszek nic już nie słuchał, tylko westchnawszy z całej duszy, włókł się utykając po piasku.

Wdowa i jej córka płakały rzewnym łzami.

— Matko! zawołała, uspokoiwszy się nieco Rozyna, pozwólcie mi, ja pójdę i zawrócę tu starego Siewruka, patrzcie jak się zatacza biedny dziadowina, upadnie jeszcze gdzie w polu i umrze bez ludzkiej pomocy.

Borsuczyna skinieniem zachęciła córkę, a za chwilę potem pocziwe dziewczę przyprowadziło chorego staruszka do chałupy.

— Siadajcie Mateuszu na ławie, przemówiła gościnna włódarka, możebyście zjedli ciepłej strawy?

— Dziękuję wam matko, chory jestem i nic jeść nie mogę, ale napiłbym się choć trochę mleka, a potem pozwólcie mi przespać się chwilkę na trawie pod stodołą, to i powłokę się dalej i nie będę wam próżno zastępował w izbie, mówił drżącym głosem Siewruk, a lzy obfite płynęły z jego oczów.

— Ale gdzieżbyście zaś mieli spać pod stodołą, teraz jesień, to już i chłodno i mokro, bo deszcz spadł niedawno, mówiła Rozyna, ochoczo krzątając się po izbie. Ot wiecie co, ja wam pościelę wygodnie na łożku, to się prześpicie z Bogiem, a potem zobaczymy.

Staruszek osłupiał ze zdumienia. Dotąd tylko słyszał grubiańskie wyrazy zięcia i ostre a cierpkie słowa niewdzięcznej córki; pocziwa zaś Borsuczyna i jej córka tyle życzliwości mu okazują i z taką gościnnością go przyjmują. Z całej duszy podziękował za garnuszek smacznego mleka, a wprowadzony do komory przez Rozynę, z błogosławieństwem na ustach spoczął i zasnął mocno na ubogiej pościeli.

Dla dobrego serca pocziwej dziewczyny było to nie dosyć. Dobra Rozyna najwięcej ubolewała nad tem, że staruszek Siewruk, mający córkę i zięcia, ludzi zamożnych, wypędzony przez nich z domu, zmuszony jest tułać się i o kawałek chleba prosić i przemyśliwała więc, jakby zaradzić temu, aby Siewruk nie potrzebował po żebraniu chodzić.

Wiedziała o tem dobrze, iż sama z matką tyle tylko mają, ile zapracują, a to co zarobią, to zaledwie dla nich samych wystarcza. Lecz po chwili namysłu przyszła jej widać myśl szczęśliwa. Czempredziej pobiegła do matki, a padłszy do jej kolan, przekładała jej, że odtąd jeszcze więcej będzie pracowała, że nie chce ani żadnej nowej sukni, ani trzewików z miasta, że gotowa sypiać całe życie na gołej ziemi, aby tylko zebrać i zaoszczędzić coś grosza na utrzymanie Mateusza, a nie wyprawiać go na poniewierkę między ludzi. Matka czule uściskała i ucałowała swą córkę, z wielką radością pozwoliła na to. Tak więc biedny Siewruk pozostał w chałupie Borsuczyny, a choć to był rok nieurodzajny i biednej wdowie bardzo było ciężko wyżyć do lata, przecież z pomocą pracowitej córki, jak mogła opędzała się przed biedą i ani dała poznać starcowi, że pomoc, jaką mu udzielała, nie była dla niej łatwą. Bóg też błogosławił tym pocziwym i zacnym kobietom. Mateusz przy ich staraniu całkiem prawie odzyskał zdrowie, i już nieraz na wiosnę wyręczał Rozynę w paszeniu jedynej krówki, a czasem aż do lasu na gałązki się zapędzał. Wieczorem zaś, kiedy obie zajęte były jaką domową robotą, on zasiadł przy kominie i bawił je opowiadaniem rozmaitych gadek i przedziwnych powieści. Nieraz już kury na północ piałły, a one jeszcze siedziały na ławie i słuchały go z ciekawością.

A co to było śmiechu i dogadywania u niepoczciwych Łypaków, z dobrego serca Borsuczyny. Wyrodna córka, ciesząc się z pozbycia schorzałego ojca, rozpowiadała kumoszkom, że teraz dopiero jest panią u siebie. Dziwili się jednak wszyscy, że Łypakowie chociaż osiedli na zasobnym gospodarstwie Siewruka, chociaż oboje bardzo zabiegli i chciwi grosza, nie mogli się jednak niczego dorobić, lecz przeciwnie, coraz nowej doznając straty, marnieli i podupadali widocznie na majątku.

Jeden tylko ksiądz proboszcz, który wkrótce dowiedział się o tem całym zdarzeniu, nie dziwił się temu bynajmniej, ale wszystkie nieszczęścia Łypaków przypisywał sprawiedliwej karze Pana Boga.

Upłynęły już dwa lata. W chacie Borsuczyny nic się nie zmieniło, ten sam ład i czystość przy urządzeniu, ta sama chęć do pracy, ten sam ogródek pięknie opielony za chłupą, ta sama stara lipa, ulubione ptaszki siedlisko, tylko ludzie pozmieniłi się jakoś. Na twarzy włódarki zmarszczek znacznie więcej przybyło, stary Siewruk zapadł znowu na dawniejsze bóle, a nawet i Rozyna, młodziuchna i ładna Rozyna, nie była już tą samą co dawniej. Z twarzy jej znikły rumieńce, na ustach już ani poigra wesoły uśmiech, ani brzmi piosenka, co tak wiele ożywiała niegdyś te ubogie ściany, słowem Rozyna zupełnie niepodobna już do siebie.

Pewnego razu, a było to jakieś święto, Borsuczyna poszła coś kupić do miasteczka, a Rozyna sama przyrzadziwszy zwyczajny posiłek, zasiadła przy łóżku Siewruka i czekała na jego przebudzenie.

Niedługo stary poruszył się na pościeli i z ciężkością otworzywszy oczy, słabym głosem zawołał o trochę wody.

— Róziu! przemówił nareszcie, zaspokojwszy pragnienie, czuję, że niedługo już mi przyjdzie kołatać się na tym świecie, a nawet teraz miałem sen taki, że już prawie wiem z pewnością, że mię Bóg łada dzień zawezwie do siebie.

— I co też prawie Mateusz, toby tam w sny wierzył, przerwała Rozyna, śmiejąc się, chociaż łzy połyskały jej w oczach.

— Dobre pocziwe dziewczę, rzekł Siewruk, nie zawiedziesz mnie swoim śmiechem, wiem ja dobrze, co mówię; ale czegożbym miał żałować? Wam już się na nic nie przydam, złego i dobrego użyłem już dosyć na świecie, a czas też już i strudzonym kościom na wieczny spoczynek...

Rozyna głośno płakała.

— Moje dzieci! mówił dalej starzec, zawsze byłaś dobrą i miłosierną dla mnie, tyś mi podała rękę, kiedym szedł na żebraninę, wypędzony z własnej chaty przez wyrodną córkę, i nie pozwoliłaś, żebym umarł gdzie z głodu pod ścianą. Teraz więc, nim zamknę oczy na zawsze, nie odmów mi jednej ostatniej prośby.

— Mówcie tylko a zrobię co będziecie chcieli, mój złoty dziaduniu, wyjąkała wśród łez Rozyna.

— Otóż moja córko, otwórz przedemną serce twoje i powiedz, dla czego już od pewnego czasu jesteś ciągle markotna i jakby nierada niczemu na świecie.

Błada twarz dziewczęcia zapłonęła ognistym rumieńcem. Spuściła głowę i zapytała nieśmiało:

— Znacie wy Pawła Siekierkę, gospodarza z Krzywoszewa?

— A jakże nie, toć on mi nawet krewniak po matce.

— Jego syn Pietrek, jest leśnym w naszej wsi.

— Aha! przerwał z widocznym orzeźwieniem jakoby zdrowszy i silniejszy, wpadł ci zapewne w oko, nie masz się czego smuć, bo to uczciwy i pracowity chłopak.

— Smucę się, odrzekła Rozyna, bo stary Siekierka zamożny i upatruje bogatej synowej, a ja nie mam, jak wiecie, prócz jednej krowiny i kilka zagonów roli.

— No! no! żebym tylko zobaczył się z Pawłem, to i wszystko dobrze się skończy.

Dziewczyzna ze łzami ucałowała jego rękę.

Nazajutrz rzeczywiście Paweł Siekierka uwiadomiony przez syna, że staruszek Siewruk chce się z nim widzieć, pośpieszył do niego, włódarka była w polu, a Rozyna z bijącym sercem wybiegła do ogrodu, i czekała aż wyjdzie. Ale rozmowa Siewruka z Pawłem Siekierką trwała dość długo, a kiedy Rozyna wręciła do izby, twarz Mateusza jaśniała dziwną radością. Siekierka zaś wzięwszy jakiś papier z rąk starca, wyszedł niebawem. We dwa dni potem Borsuczyna zdziwiła się nie pomału, kiedy wieczorem do jej chałupy zawitali swaty od Piotra Siekierki, w którym aniby śmiała się spodziewać przyszłego męża dla swojej dziewczuchy.

Wiemy już, że Rozyna nie była wstrętna tym swatom, więc też nic dziwnego będzie, że wszystkie łatwo poszło, że zaraz w następną niedzielę były zapowiedzi, a po trzech tygodniach odbyło się sute weselisko, o jakim dawno nie słyszano we wsi, bo stary Siewruk naglił, póki żyje, aby mógł jeszcze pobłogosławić nowożeńcom. W chwili, kiedy Rozyna mając opuścić matczyną chałupę, padła jej do nóg, prosząc o błogosławieństwo, schorowany Mateusz dźwignął się na łóżku, i podawszy do rąk obecnemu sołtysowi ten sam papier, co go był dawniej pokazywał staremu Siekierce, prosił go żeby natychmiast treść jego głośno przeczytał. Sołtys chętnie przystał na to, odczytał, co tam było napisane, a po przeczytaniu okazało się, że to był zapis 3000 złotych, sporządzony najformalniej przez zmarłego dziadka na rzecz Siewruka, który mu niegdyś miał sposobność ocalić życie na polowaniu.

— Ten zapis, przemówił, ocierając łzy stary Mateusz, miałem oddać kiedyś mojej córce Magdzie, jeśliby się ulekkła kary Bożej i przestała wywierać na chorym ojcu, a nie, to pierwszej litościwej osobie, coby mnie pod dach swój przyjęła. Pan Bóg sprowadził mnie tutaj, wiecie wszyscy, którzy tu jesteście, co dla mnie uczyniły te dwie pocziwe niewiasty, dodał wskazując na Borsuczynę i jej córkę Rozynę; przyjęły mnie chorego, choć nie wiedziały, czy im się kiedykolwiek wywdzięczę. Za takie czyny tylko w niebie znajduje się godna nagroda. Nie mogąc nic więcej zrobić dla nich, oddaję im moje błogosławieństwo, a te parę tysięcy niech będą wianem dla Rozyny i pamiątką od biednego Mateusza, co go jak rodzonoego ojca w chorobie pilnowała.

Wszyscy obecni z rozczulenia i radości od łez wstrzymać się nie mogli. Wyszedszy ztamtąd, skwapliwie po całej wsi opowiadali jako najszcześniejszą niespodziankę. Wieść ta niebawem doszła i do Łypakowej, co właśnie leżała na łóżku, chorując na bardzo silną febrę. Chciwa niewdzięcznica nie posiadała się ze złości, wkrótce zapadła na żółtaczkę i z tej już więcej nie powstała.

W parę tygodni po weselu Rozyny, przy bramie cmentarza spotkały się dwie trumny, jedna z nich mieściła zwłoki starego Siewruka, za którym szła płacząca Borsuczyna z córką, zięciem i mnóstwem innych wieśniaków, w drugiej zaś było ciało

niewdzięcznej Magdy, odprowadzane przez samego prawie męża, niosącego na rękę bladego synka, co także nie obiecywał długiego życia. Dwie mogiły stanęły obok siebie, a dobrzy wieśniacy rozeszli się do domów, powtarzając dziatkom swoim:

— Czcij ojca i matkę swoją, ażebyś długo żył, aby ci się dobrze powodziło na ziemi.

W jaki sposób Napoleon uciekł z Elby.

Jak wiadomo Napoleon I, przegrawszy w r. 1813 wielką bitwę pod Lipskiem, po wejściu wojsk sprzymierzonych do Francji — zmuszony został do zrzeczenia się tronu francuskiego. Równocześnie mocarstwa sprzymierzone (Austria, Prusy, Rosja i Anglja) zarządziły wywiezienie Napoleona na wyspę angielską na Morzu Śródziemnem. Elbę. Stamtąd, po niespełna roku, Napoleon zbiegł, porwał wojsko francuskie jeszcze raz za sobą i walczył przez pewien czas jak lew zraniony, aż ostatecznie pokonany przez Anglików i Prusaków pod Waterloo, wywieziony został na wyspę św. Heleny, gdzie w r. 1821 dokonał żywota.

Otóż jedna z gazet francuskich, opierając się na dokumencie ówczesnym, tak opisuje ucieczkę Napoleona z wyspy Elby:

W Porto-Ferrajo — tak się zaczyna ów opis — mieszkał bogaty kupiec, nazwiskiem Fornesi. Podczas wojen wielkiego cesarza był dostawcą do wojska. Po wypadkach w r. 1814, gdy Napoleon przybył na Elbę, okazywał mu Fornesi ogromny zapał, co nie uszło uwagi cesarza tak, że pragnął poznać go bliżej. Pewnego dnia, z końcem lutego 1815 r. Napoleon odwiedził Fornesiego.

— Chciałbym zrobić małą przejażdżkę po morzu; ilu ludzi mogłyby zabrać twoje okręty których mi dostarczysz?

Fornesi podał cyfrę ludzi, dział, i innych przyborów.

— Dział: — zawołał zdziwiony — kto mówi, że ja chcę jechać z armatami?

— O Sire, ja nic nie wiem, tak sobie tylko myślałem. Wasza cesarska mość musi się tu piekielnie nudzić...

Cesarz spojrział bystro na Fornesiego, potem obyczajem włoskim zrobił „oko“, tj. wskazującym palcem wykrzywił dolną powiekę prawego oka, co u Włochów oznacza „rozumiem cię, bratku“, i zawołał:

— Signor Fornesi, siete un furbo. (Mości Fornesi, jesteś łotrem).

— Un furbo si, ma non traditore. (Łotrem tak, ale nie zdrajcą).

— Dobrze więc, trzymaj okręty w pogotowiu, ale nic nie mów nikomu.

Nazajutrz odwiedził Fornesiego Drouot, zaufany cesarza.

— Ile masz pan gotówki? — zapytał bez długiego wstępu.

— Przeszło 130.000 franków.

— Zechcesz mi pan tę sumę pożyczyć?

— Z całą przyjemnością.

W godzinę później przyszedł Drouot znowu do Fornesiego z zapytaniem, czy mógłby do owej sumy trochę dolożyć.

— Owszem, ale musiałbym pisać do moich korespondentów, a to zwróciłoby uwagę.

— Podobno jednak pożyczyleś tu znaczną sumę lichwiarzowi Ouze?

— Tak... tak... poczekaj pan na mnie — i wyszedł.

Za parę chwil wrócił Fornesi i przyniósł jeszcze 25.000 franków.

Na drugi dzień Napoleon był znowu u niego.

— Gdzie stoi angielska korweta? — zapytał.

— Nie wiem.

— Musisz się dowiedzieć.

— Jakim sposobem sire?

— To twoja rzecz, ja muszę wiedzieć. Liczę na ciebie. — Z tem poszedł.

Fornesi długo rozmyślał, aż wreszcie przypomniał sobie, że konsul angielski, który mieszkał w Porto Langone, był mu coś dłużnym. Pobiegł więc do niego i żądał pieniędzy:

— Drogi panie Fornesi, bardzo mi przykro, ale w tej chwili nie mogę panu zwrócić... niepodobna.

— Niepodobna? Dobrze. Ale przynajmniej pozwól mi pan udać się na pokład korwety; tam są mi także coś winni, może mi tam lepiej się uda.

— To także niepodobnieństwo. Prawdziwie jestem w rozpacz, drogi panie Fornesi, ale co nie można to niemożna.

— Dlaczego?

— Bo korwety nie widać.

— A to doskonale! Gdzież ona stać może, gdzie mógłbym ją odszukać?

— Wogóle może wcale jej pan nie odzyskasz.

Potem pod największą tajemnicą zwierzył się konsul Fornesiemu, że kapitan korwety jest w pewnej hrabinie zakochany i pojechał z korwetą za swą uwielbianą do jakiegoś nadbrzeżnego miasta włoskiego.

Fornesi udał zrozpaczonego z powodu takiego zbiegu okoliczności — i odszedł, ciesząc się w duchu niezmiernie, bo wiedział już to, czego dowiedzieć się pragnął. Korwety któraby mogła ucieczkę cesarza udaremnić, nie było na posterunku.

Cesarz więc odpłynął do Francji.

W połowie maja 1815 roku przybył Fornesi do Paryża i pobiegł natychmiast do pałacu cesarskiego. Cesarz przyjął go, bawiąc się w otoczeniu świetnego towarzystwa

— Witaj nam, mości panje — rzekł dość chłodno i urwał, chcąc Fornesiego trochę zaambarasować, co było Napoleona zwyczajem. Fornesi też istotnie zmieszkał się okrutnie i zarazem rozżalił z powodu takiego przyjęcia. Stał zakłopotany, nie wiedząc, co z sobą począć.

Cesarz za chwilę znow zwrócił się do niego:

— Wydałem rozkaz, aby sumę, która się panu należy, natychmiast wypłacono.

— Sire, jesteś zbyt łaskaw.

— Ponieważ już jesteś pan w Paryżu, przeto może masz jakie życzenie?

— O jedną proszę łaskę, aby mi wolno było ucałować rękę waszej cesarskiej mości.

Wcdz ich w Polsce zdaje się w katolickim wychowywał klasztorze ccerki!?

Nastąpiła krótka pauza.

— Moi panowie! — rzekł po chwili cesarz dobitnie — przedstawiam wam pana Fornesi z Porto Ferrajo, który mi ogromne oddał usługi; bez jego pomocy nie mógłbym być powrócić z Elby. Chodź w moje objęcia Fornesi!

Ostatecznie jednak, ponieważ wkrótce przyszedł drugi upadek Napoleona, Fornesi nie zobaczył już swoich pieniędzy i zmarł w roku 1849 w ogromnej nędzy. Syn jego także nie mógł nic od Napoleona III uzyskać, prócz niedotrzymanych obietnic.